

David Malcolm

LAUDACJA DLA PROFESORA HAYDENA WHITE'A DOKTORA HONOROWEGO UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO

W wielkim, późnym, kameralnym westernie Johna Forda z roku 1962 pod tytułem *Człowiek, który zabił Liberty Valance'a* widz ma okazję wysłuchać historii starszego już senatora Ransoma Stoddarda (gra go James Stewart), opowiadającego młodemu dziennikarzowi o zdarzeniach, jakie miały miejsce podczas jego wizyty w miasteczku Shinbone, gdzie uczestniczył w pogrzebie niejakiego Toma Doniphona. Swoje niemałe sukcesy i sławę zawdzięcza Stoddard temu, iż kilka dziesięcioleci wcześniej udało mu się zabić notorycznego psychopatycznego mordercę Liberty Valance'a, granego przez Lee Marvina. Po latach przyszedł czas na ujawnienie dziennikarzowi skomplikowanej prawdy – w rzeczywistości Valance został zastrzelony przez Doniphona (Johna Wayne'a), z czego wynika, że cała kariera polityczna Stoddarda opiera się na fałszu. Pod koniec filmu dziennikarz staje przed dylematem: co powinien zrobić? Jego redaktor przychodzi mu wówczas z pomocą: „To jest Zachód, szanowny panie. Gdy legenda staje się faktem, drukujemy legendę”.

Żyjemy w czasach historycznych. Francisa Fukuyamę, autora *Końca historii?*, słynnego artykułu z tytułem opatrzonym znakiem zapytania, spotkało w 1989 wiele niesprawiedliwej krytyki, chociaż twierdził jedynie, że wraz z zakończeniem „zimnej wojny” końca dobiegł również ideologiczny konflikt, który znalazł się u jej podstaw. W istocie rzeczy argumentacja Fukuyamy nie jest pozbawiona sensu i warto zdać sobie sprawę, iż trzeba było ponad dwudziestu lat, dwóch niszczących neokolonialnych wojen i porażki kapitalizmu na znaczną skalę, aby syrenie głosy lewicy z poprzedniego stulecia znów dotarły do uszu szerszej publiczności. Lecz jeśli ktokolwiek uwierzył, że druga Wiosna Ludów rzeczywiście oznaczała koniec historii, głęboko się pomylił. Historia nie skończyła się wraz z upadkiem berlińskiego muru.

Termin „historia” ma dwa znaczenia. *Skrócony oxfordzki słownik języka angielskiego* odnotowuje kilka komplementarnych definicji tego rzeczownika. Dwie pierwsze z nich są następujące: „1. Opowieść o zdarzeniach (w nowszym sensie w szczególności rzekomo autentycznych); narracja, opowiadanie. Znaczenie przestarzałe, o

ile nie przechodzi w sens 2. Pochodzenie późnośrednioangielskie. 2. definicja specjalistyczna. Stały metodyczny zapis ważnych lub publicznie znanych wydarzeń, w szczególności tych związanych z danym krajem, osobą, itd. Pochodzenie późnośrednioangielskie”. A więc zapis, a nie wydarzenia. To uderzające, że pierwszych sześć słownikowych definicji traktuje o historii jako tekście. Dopiero definicja siódma (a pamiętajmy, że ułożone są one w porządku chronologicznym) określa historię jako zdarzenie: „7. a. Seria zdarzeń (o których opowiedziano lub można opowiedzieć). Późny wiek szesnasty lub siedemnasty. b. Cały ciąg zdarzeń związany z jakimś krajem, osobą, bądź rzeczą, itd.; pełna zdarzeń przeszłość. Połowa wieku siedemnastego.” Słowem, w angielszczyźnie zapis poprzedza w czasie wydarzenia.

Oczywiście świat ciągle podlega zmianom – dotyczy to na przykład wyborów, uchwalania praw, hossy i bessy, malowania obrazów, pisania książek, biegów maratońskich, przyrządzania posiłków, sprzątania domów czy kroju ubiorów. Od historii nie sposób uciec, gdyż jest ona żywołem, w którym żyjemy. Ale problem sposobu, w jaki zapisujemy i rozważamy rozliczne wydarzenia pozostaje istotny. Hiszpanie wymyślili pojęcie *noveleria*, oznaczające nowelizację niedawnej przeszłości, szczególnie w odniesieniu do okresu bezpośrednio po śmierci generała Franco. Fikcjonalizacja wydarzeń z dnia 23 lutego 1981 roku – *golpe de estado*, zamachu stanu przeprowadzonego rzekomo przez podpułkownika Antonia Tejero Molinę jest przykładem szczególnie uderzającym. Co się właściwie wówczas stało? Kiedy dokładnie? Jakie były role uczestników zdarzeń? Kto o tym wiedział? Gdzie i kiedy był wtedy odbiorca opowieści? Oględnie mówiąc, świadectwa i zapisy bardzo się różnią. W chwili obecnej w kręgach brytyjskich historyków i kołach politycznych toczą się gorące debaty na temat historii, jaka powinna być nauczana w brytyjskich szkołach. Czy należy uczyć tradycyjnej opowieści o chwale naszej wyspy, wraz z jej wszystkimi mocno już wyświechtanymi osobistościami, teatrem zdarzeń i datami, czy też wypadałoby raczej przyjąć postawę krytyczną i otworzyć się na różne, odmienne głosy? A może warto wybrać perspektywę bardziej lokalną i skupić się na sposobach tworzenia historii zamiast proponować, jak dotąd, wielką metanarrację?

W części świata, w jakiej się znajdujemy, nigdy nie można zanadto oddalić się historii, zarówno w sensie biegu zdarzeń, jak i zapisu. Obydwa nakładają się wzajemnie

na siebie: Gdańsk i całe Trójmiasto, ich domy i ulice przyciągają gości z Polski i innych krajów. Gotyckie kościoły, Katownia i Wieża Więzienna, kamienice hanzeatyckich mieszczan, tryumfalna Złota Brama z początku siedemnastego wieku, bastiony, reduty i fosy siedemnastowiecznych fortyfikacji, gmachy z epoki wilhelmińskiej, wytarte, ledwo widoczne niemieckie napisy, które można jeszcze gdzieś dostrzec, Poczta Polska na dawnym *Heveliusplatz*, pomniki na Zaspie, Westerplatte i w Kolibkach, synagoga we Wrzeszczu, bramy stoczni (niegdyś imienia Lenina), tablica upamiętniająca strajk studentów, przystanek kolejki, na którym 17 grudnia 1970 roku milicja strzelała do robotników – mury wszędzie nasycone są tu historią i krwią. Lecz historia jako tekst jest równie wszechobecna. Główne Miasto Gdańska/Danzigu to symulakrum, powojenny miejski tekst z cegieł, zaprawy i tynku, gdzie to, co zostało odbudowane było, co zrozumiałe, kwestią wyboru. Danzig sprzed roku 1945 – urocze, pełne zieleni, choć zarazem prowincjonalne wilhelmińskie miasto – odbudowany nie został. W jego miejsce zrekonstruowano coś innego. Stworzono tekst, zaproponowano wariant przeszłości który w najlepszym razie jest zaledwie częściowym i skrótowym odczytaniem tego, czym był w swym wielowarstwowym skomplikowaniu Danzig. Historie Gdańska/Danzigu sprzed roku 1989 znacznie różnią się od napisanych po tej dacie. Zalew albumów z dawnymi widokówkami z Gdańska, Gdyni i Sopotu oraz ich przedmieść, z jakim mamy do czynienia od roku 1989 jest najlepszym dowodem tęsknoty za odmiennymi historiami. Co stało się jesienią 1939 na Westerplatte? Zależy kto o tym opowiada. Znaczenie zapisu historycznego podkreśla w Polsce działalność Instytutu Pamięci Narodowej – instytucji, na temat której i z którą żartować sobie można za cenę pewnego ryzyka.

Problematyką tego właśnie rodzaju (nawet jeśli bywają one ilustrowane innymi przykładami) profesor White zajmuje się od ponad pół wieku. Od momentu publikacji w roku 1973 kluczowego studium pt. *Metahistory*, nieprzerwanie opowiada się on w swych licznych pracach za nieredukowalnie tekstową naturą naszych świadectw przeszłości. Utrzymuje, iż historycy, tak samo jak powieściopisarze, tworzą swoje zapisy w oparciu o fabuły. Organizują oni swój materiał nieświadomie bądź z pełną świadomością w sposób zgodny z przyjętymi założeniami (tak być musi) lub niegodny (za to mi płacą) tak, aby pasował do ich ogólnego wyobrażenia o ludzkich sprawach, które albo zmierzają ku lepszemu, albo ku katastrofie, toczą się pod dyktando konspiracji lub chaotycznie, wedle

scenariusza Objawionego Przeznaczenia lub ludobójstwa, w klimacie łagodnego przymusu lub zbrodniczego szaleństwa. Istnieją „wydarzenia” i „fakty” – te ostatnie są opisywane, tworzone według określonego, przyjętego przez historyka „protokołu”. Historycy posługują się tropami, językiem dalekim od dosłowności, nie gorzej niż ich piszący prozę fabularną koledzy: metaforą (Afganistan to Wietnam Obamy), metonimią i synekdochą (to, co dzieje się w jakiejś dolinie w prowincji Helmand jest reprezentatywne dla całej wojny, strategii czy kursu politycznego). Są to techniki powieściowe – zgodnie z konwencją dziewiętnasto- i dwudziestowiecznego realizmu (choć nie tylko) doświadczenie jednostek, określone miejsca i sekwencje działań ilustrują szersze konfiguracje społeczne, gospodarcze i polityczne. Nocna wyprawa młodego Goodmana Browna z opowiadania Nathaniela Hawthorne’a w głąb lasu jest emblematem upadku całej społeczności. Slumsy Tom-All-Alone’s i cmentarz w powieści Dickensa *Samotnia* ucieleśniają zaniedbania, za które odpowiedzialność ponosi naród. Profesor White pisze w artykule pt. *Teoria literatury i pisanstwo historyczne*:

„‘historia’, będąca przedmiotem tej wiedzy [czyli wiedzy historycznej] dostępna jest tylko za pośrednictwem języka, a nasze doświadczenie historii jest nierozzerwalnie związane z dyskursem o niej – dyskurs ten musi zostać napisany zanim stanie się „historią” i w związku z tym doświadczenie to może mieć różny wymiar, tak jak różne mogą być dyskursy występujące w samej historii pisanstwa”. (przeł. Tomasz Dobrogoszcz, przekład zmodyfikowany)

Dlatego historia jest przede wszystkim sprawą zapisu. Ale czy to wszystko? Profesor White pamięta, i słusznie, by nie sugerować, że poza dyskursem nie ma żadnej rzeczywistości, albo że wszystkie dyskursy są równouprawnione. Historyk świadom „tropologicznej” natury swojego dyskursu jest na ogół wart więcej od kolegi, który woli o tym nie wiedzieć. White pisze dalej:

„Taki opis dyskursu historycznego nie sugeruje wcale, że przeszłe zdarzenia, osoby, instytucje i procesy w rzeczywistości nigdy nie istniały. Nie sugeruje także, że nie mamy dostępu do mniej lub bardziej precyzyjnych danych na temat

tych przeszłych bytów. Nie sugeruje on nawet, że nie możemy przekształcać tych danych w wiedzę przy użyciu różnych metod wypracowanych przez różne dyscypliny wchodzące w skład ‘nauki’ danego wieku czy kultury”. (przeł. Tomasz Dobrogoszcz)

Nie wszystkie opowieści są w równym stopniu uprawnione. W tekście zatytułowanym *Fabularyzacja historyczna a problem prawdy* White ujmuje to tak:

„Oczywiście ‘konkurencyjne narracje’, uznane za fakty relacje z wydarzeń, mogą być oceniane, krytykowane i porządkowane na podstawie swej adekwatności wobec zapisów źródłowych oraz wszechstronności i zgodności z tezami, które zawierają”. (przeł. Ewa Domańska)

Na przykład pewne narracje o afrykańskim niewolnictwie w Stanach Zjednoczonych czy o Niemczech w latach 1933-1945 można uznać za rodzaje dyskursu niestosowne wobec danego przedmiotu.

Profesor White ma poprzedników. W gruncie rzeczy nawet sam Leopold von Ranke nie sądził, iż historia to po prostu kwestia opowiedzenia „*wie es eigentlich gewesen*” (nie wszyscy współcześni historycy wyzbyli się tego przesądu; według jednego z nich takie podejście to wciąż „*eine starke Theorie*”). Thomas Carlyle, nękanymi konfliktami i sam wciąż je prowokujący wielki szkocki eseista, pisał w roku 1830 w szkicu *On History* o ułomnościach zawodu historyka, że jego wywody „muszą być oparte na ciągłości, podczas gdy wydarzenia często zachodzą równocześnie” i podrwiwał sobie z „łańcuszków” przyczyn i skutków. „Opowieść jest linią” – zauważał – „a działanie bryłą”. Ale głos i intelekt profesora White’a zrobiły wiele, by współczesne pokolenia odmieniły swój sposób widzenia historii. Hayden White jasno i przekonująco wykazał, że każdy zapis historyczny jest stronniczy i opiera się na z góry przyjętych założeniach, a zarazem sprzeciwiał się z uporem relatywizmowi i tekstualizacji *tout court* cierpień i radości związanych dziejowym nurtem, którym płynie nasze życie. Zapewne mamy dostęp tylko do dyskursywnych zapośredniczeń historii, lecz przecież nie oznacza to, że

nie bywamy ofiarami lub beneficjentami konkretnych zdarzeń i procesów. Numer wytatuowany na skórze jest realny. Dzięki temu, że znikają granice możliwa jest miłość.

„To jest Zachód, szanowny panie. Gdy legenda staje się faktem, drukujemy legendę”. Profesor White pomaga nam zrozumieć, jak blisko sąsiadują ze sobą fakt i legenda, w jaki sposób możemy snuć opowieści, które usprawiedliwiają zbrodnie lub sprawiają, że budujemy rzeczy wielkie. To dobrze, że White żyje i pracuje w Stanach Zjednoczonych – kraju, którego naród i kultura wytworzyły historie zakorzenione w uprzedzeniach tak skrajnych, że wprawiłyby one w zakłopotanie nawet stalinowskiego komisarza do spraw propagandy. (Mam tu na myśli uzasadnienia niewolnictwa i zagłady pierwotnych mieszkańców kontynentu.) Historie te nie trafiają wyłącznie do odbiorcy amerykańskiego, lecz na skutek globalnej popularności kultury USA kolonizują także umysły w krajach bardzo nieraz od Stanów Zjednoczonych odległych. Jeśli jednak istnieje Ameryka godna bezwarunkowego podziwu, to jest to Ameryka reprezentowana – jako metonimia czy synekdocha – przez wnikliwą i dociekliwą inteligencję Haydena White’a, jego intelektualną odwagę i jasność widzenia.

Pierwszego września 1939 roku w nowojorskim barze podmiot wiersza Audena o tym tytule (w dużej mierze *porte parole* samego poety) mruczy do siebie, starając się nie upaść na duchu w obliczu historycznych mroków:

Głos mój to wszystko,
By rozwikłać splot kłamstw,
Romantycznych kłamstw w mózgach
Przeciętnych zmysłowych ludzi
I kłamstwo władzy, której gmachy
Obmacują niebiosy... (przeł. Leszek Elektorowicz)

Profesor White poświęcił wiele czasu (o ile akurat nie procesował się zwycięsko w Wydziale Policji miasta Los Angeles), „by rozwikłać splot kłamstw”, złożonych opowieści, jakimi raczą nas historycy, abyśmy trwali we śnie przyzwolenia, wysyłali młodych ludzi na wojnę, gdzie dopuszczają się oni rzeczy strasznych, lub czasem dokonywali właściwych wyborów i postępowali słusznie. Robimy tak niekiedy również

dlatego, że profesor White pomógł nam przyrzeć się naszym własnym opowieściom i historiom z krytycznego dystansu.

Jako społeczność akademicka Uniwersytetu Gdańskiego (wiem, że to metafora, lecz mam nadzieję, że jest ona zgodna z faktami i do pewnego stopnia spójna) jesteśmy dumni, że Hayden White zechciał przyjąć od nas tytuł doktora *honoris causa*.

W swym słynnym wierszu z roku 1953 *Który skrzywdziłeś...* Czesław Miłosz przypomina moźnym i potężnym: „Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta”. Z całym szacunkiem dla poetów możemy nieco zmodyfikować ten wers bez uszczerbku dla jego rytmu: „Nie bądź bezpieczny. Historyk pamięta”. Nasz doktor honorowy jest jednym z najznakomitszych z tych tak potrzebnych ludzi.

Przekład: prof. UG, dr hab. Marek Wilczyński